

DR LEO GALLAND

# LEKARZ UJAWNIA PRAWDĘ O ŻYCIU PO ŻYCIU



Wszyscy jesteśmy już w Niebie



STUDIO  
ASTROPSYCHOLOGII  
*jeszcze lepsze jutro*



DR LEO GALLAND

# LEKARZ UJAWNIA PRAWDĘ O ŻYCIU PO ŻYCIU

Wszyscy jesteśmy już w Niebie



Słuchaj radia Hay House  
na: [www.hayhouseradio.com](http://www.hayhouseradio.com)



STUDIO  
ASTROPSYCHOLOGII  
*jeszcze lepsze jutro*





*Dla Nell, Babci Christophera,  
której miłość i cierpliwość nie znały granic*

REDAKCJA: Patrycja Buraczewska  
SKŁAD: Aleksandra Lipińska  
PROJEKT OKŁADKI: Anna Plotko  
TŁUMACZENIE: Sylwia Grodzicka

Wydanie I  
BIAŁYSTOK 2018  
ISBN 978-83-8171-051-0

Tytuł oryginału: Already Here: A Doctor Discovers the Truth about Heaven  
ALREADY HERE  
Copyright © 2018 by Leo Galland  
Originally published in 2018 by Hay House Inc.

© Copyright for the Polish edition by Studio Astropsychologii, Białystok 2017  
All rights reserved, including the right of reproduction in whole or in part in any form.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być powielana ani rozpowszechniana za pomocą urządzeń elektronicznych, mechanicznych, kopiujących, nagrywających i innych bez pisemnej zgody posiadaczy praw autorskich.



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku.  
[www.facebook.com/Wydawnictwo.Studio.Astropsychologii](http://www.facebook.com/Wydawnictwo.Studio.Astropsychologii)



STUDIO  
ASTROPSYCHOLOGII  
*jeszcze lepsze jutro*

15-762 Białystok  
ul. Antoniuk Fabr. 55/24  
85 662 92 67 – redakcja  
85 654 78 06 – sekretariat  
85 653 13 03 – dział handlowy – hurt  
85 654 78 35 – [www.talizman.pl](http://www.talizman.pl) – detal  
strona wydawnictwa: [www.studioastro.pl](http://www.studioastro.pl)  
sklep firmowy: Białystok, ul. Antoniuk Fabr. 55/20

Więcej informacji znajdziesz na portalu [www.psychotronika.pl](http://www.psychotronika.pl)

PRINTED IN POLAND

# Spis treści

<i>Prolog</i> .....	9
Rozdział 1 .....	11
Rozdział 2 .....	19
Rozdział 3 .....	27
Rozdział 4 .....	33
Rozdział 5 .....	41
Rozdział 6 .....	45
Rozdział 7 .....	51
Rozdział 8 .....	61
Rozdział 9 .....	67
Rozdział 10 .....	77
Rozdział 11 .....	89
Rozdział 12 .....	97
Rozdział 13 .....	111
Rozdział 14 .....	123
Rozdział 15 .....	135
Rozdział 16 .....	149
<i>Epilog</i> .....	153
<i>Podziękowanie</i> .....	157
<i>O Autorze</i> .....	159







## Prolog

*L*ekarz ujawnia prawdę o życiu po życiu opisuje śmierć mojego dwudziestodwuletniego syna, Christophera, oraz bezpośredni dowód istnienia życia po śmierci, który mi ukazał, jak również kontakt, jaki utrzymywałem z nim po jego odejściu. Wszystkie opisywane tutaj wydarzenia całkowicie zmieniły moje rozumienie wszechświata, życia, sensu istnienia oraz nieba.

Za życia Christopher był dzieckiem specjalnej troski, cierpiącym z powodu uszkodzenia mózgu, który swoim nieprzewidywalnym zachowaniem oraz niesamowitymi spostrzeżeniami poddawał próbie każdego, kogo poznał. Po swojej śmierci okazał się być prawdziwym sensem mojego życia: stał się moim duchowym mistrzem, który uczył innych poprzez konfrontowanie z ich przekonaniami oraz oczekiwaniami. Chris pokazał mi, że dusza ludzka jest niezniszczalna i że istnienie wszechświata zależy od nieśmiertelnej świadomości każdego z nas, ponieważ wszechświat sam w sobie jest aktem miłości.

Mądrość Christophera została mi objawiona w postaci trzech darów, które nazywam kolejno Darem Przeciwnieństwa, Darem Obecności oraz Darem Bezczasowości. Z czasem

zdałem sobie jednak sprawę, że dary te nie są przeznaczone wyłącznie dla mnie. Kryją w sobie starożytną wiedzę, która przez wiele tradycji była uznawana za świętą, a którą Chris przekazał mi po to, abym podzielił się nią z innymi. *Lekarz ujawnia prawdę o życiu po życiu* to książka, którą napisałem pod jego kierunkiem.



## ROZDZIAŁ

# 1

Serce waliło mi w piersiach. Ledwo trzymałem się na nogach. W mojej głowie jak echo rozlegał się tępy, głuchy dźwięk potwornej wiadomości, którą przed chwilą otrzymałem.

– Zdarzył się wypadek – powiedziała Imelda. – Dzwonili do ciebie ze szpitala w Massachusetts. Chodzi o Christophera. Leży na oddziale intensywnej terapii i jest reanimowany. Lekarz prosił, żebyś oddzwonił.

– Kiedy to się stało? – zapytałem. Miałem wrażenie, że śnię albo znalazłem się w jakimś filmie. Wypowiadano jakieś słowa, niektóre pochodziły z moich ust, inne nie, ale w moim odczuciu wszystkie nie miały ze sobą żadnego związku.

– Dzwonili jakieś dziesięć minut temu. Christopher uczestniczył w pieszej wycieczce po lesie. Miał wypadek. Przyjechała karetka i...

Pomimo paniki, którą wywołały we mnie te słowa, moja dłoń niewzruszenie wykręciła numer szpitala, a gdy mówiłem, mój głos pozostawał spokojny. Jakaś część mojego umysłu

widziała Christophera leżącego na noszach, otoczonego białymi fartuchami, których dłonie spoczywały na jego klatce piersiowej i naciskały na nią rytmicznie, wykonane w odpowiednim miejscu wkłucie dożylnie... monitor śledzący pracę jego serca... Coś takiego obserwowałam wiele razy, sam przecież byłem jednym z takich białych fartuchów, tyle że dotychczas na noszach zawsze leżał jakiś obcy człowiek.

– *Co to dla ciebie oznacza, Chris?* – zawałęm bezgłośnie.  
– *Kolejne uszkodzenie mózgu? Nasilenie dysfunkcji układu neurologicznego? Utratę wszystkiego, na co tak ciężko pracowałeś? Życie w śpiączce? A może cudowne uzdrowienie\*? Paradoksalną poprawę funkcjonowania mózgu, pozbycie się upośledzenia, z którym żyłeś przez dwadzieścia dwa lata? Mój mózg zalewał potok sprzecznych i zagmatwanych obrazów, mieszanka niewypowiedzianego strachu oraz fantastycznych życzeń. Jednak żadna z tych myśli nie zakłóciła mojego profesjonalizmu.*

– Mówi doktor Leo Galland. Dzwonię z Nowego Jorku w sprawie mojego syna.

– Nie mamy pewności, co się dokładnie stało – wyjaśnił mi lekarz dyżurny. – Pański syn był na pieszej wycieczce z grupą ludzi z North Plain Farm. Znaleźli go leżącego z twarzą zanurzoną w płytkim strumieniu. W jego płucach było tyle zimnej wody, że sanitariuszom z ledwością udało się przywrócić u niego oddech. Woda tryskała przez rurkę intubacyjną dosłownie jak z fontanny. Wydaje mi się, że doznał ataku drgawek, w wyniku którego upadł twarzą do strumienia i zaczął wciągać wodę do płuc. Reanimowaliśmy go przez około dwadzieścia minut. Puls pozostaje niewyczuwalny, a jego EKG jest płaskie.

---

\* Odpowiedzi na najbardziej nurtujące pytania oraz pomoc w zwalczeniu niepożądanych cech, a także wybraniu własnej drogi życia, do przeczytania w publikacji "Rosyjskie techniki skutecznego uzdrawiania życia. Gwarancja sukcesu według Norbekova" autorstwa Mirsakari-ma Norbekova. Książkę można kupić w sklepie [www.talizman.pl](http://www.talizman.pl) (przyp. wyd. pol.).

W momencie przyjazdu do szpitala temperatura ciała była bardzo niska i wynosiła zaledwie dwadzieścia stopni Celsjusza, prawdopodobnie przez lodowatą wodę w płucach. Rozgrzaliśmy go do około dwudziestu siedmiu stopni. Co mamy robić?

– Jeszcze nie przestawajcie – poprosiłem, wiedząc, że stan hipotermii chroni mózg. – Proszę, rozgrzewajcie go nadal i kontynuujcie resuscytację. Zobaczmy, co się stanie, gdy temperatura jego ciała wzrośnie jeszcze bardziej. Będę czekał na wasz telefon.

Siedziałem przy ladzie recepcji, z nogami jak z ołowiu, zamglonym wzrokiem i buczeniem w głowie.

– Jak wygląda mój popołudniowy grafik? – spytałem Imeldę, która w odpowiedzi pokazała mi książkę zapisów.

– Większość z tych pacjentów mieszka lub pracuje na Manhattanie – powiedziałem po krótkim przejrzeniu listy. – Proszę, zapisz ich na innych termin. Na drugą ma przyjść do mnie Roberta Singer z Tom's River. Powinienem ją przyjąć, będzie miała za sobą długą podróż i nie możemy odesłać jej tak po prostu do domu. Powinna być tutaj za kilka minut. Przyślij ją do mnie, gdy tylko się zjawi. I daj mi znać natychmiast, gdy zobaczysz Christinę. Sam muszę jej to powiedzieć. Nie sądzę, że Christopher będzie żył.

Roberta Singer przyjechała punktualnie. To była jej druga wizyta. Najpierw spojrzałem na nią, potem na leżącą przede mną kartkę. Mieliśmy omówić i zinterpretować wyniki jej analiz laboratoryjnych oraz sugerowaną terapię. A ja, pomimo największych starań, w widniejących przede mną liczbach nie potrafiłem dostrzec najmniejszego sensu.

– Przepraszam – powiedziałem do niej. – Nie jestem w stanie kontynuować dzisiejszego spotkania. Około piętnaście minut

temu otrzymałem telefon ze szpitala. Mój syn miał wypadek. Jego serce przestało bić i właśnie jest poddawany resuscytacji. Po prostu nie jestem w stanie się skoncentrować.

Wypowiadanie tych słów przychodziło mi z wielką trudnością. Nigdy wcześniej nie prosiłem pacjenta o zrozumienie moich problemów czy podzielenie mojego bólu. Nigdy nie wyszedłem z roli lekarza, nawet wtedy gdy musiałem uznać własny błąd czy przyznać się do porażki. Zawsze byłem gotowy słuchać, uczyć się i brać aktywny udział w rozmowie. Jakaś irracjonalna część mnie myślała, że dalej mogę panować nad sobą, nawet teraz. Ale było inaczej.

– Tak mi przykro – odpowiedziała Roberta. – Moje problemy nie są aż tak ważne. Mogą zaczekać.

Gdy pacjentka wyszła z gabinetu, Imelda zadzwoniła przez interkom, aby poinformować mnie o przyjeździe mojej żony.

– Christina właśnie weszła do budynku. Czeka na windę.

Szybko skierowałem się do pomieszczenia recepcyjnego. Szukałem słów, przy pomocy których miałem przekazać mojej żonie otrzymaną wiadomość, od czego aż zakręciło mi się w głowie. Gdy tylko weszła do mojego gabinetu, natychmiast zorientowała się, że coś jest nie tak. Musiałem powiedzieć jej prawdę.

Malujący się na jej ustach serdeczny uśmiech zniknął w tym samym momencie, gdy zobaczyła moją twarz. Wyszła za mną na korytarz.

– Christopher jest w szpitalu – powiedziałem, otaczając ją jednocześnie ramionami. – Miał wypadek i próbują go reanimować.

Uścisnęła mnie mocno, z całej siły wczepiając się palcami w moje plecy. Nie mogłem dostrzec jej twarzy, czułem jedynie

ły, które spłynęły mi po policzkach, i słyszałem przerażony głos Christiny.

– Nie mów mi, co się stało. Nie chcę wiedzieć.

Przez kilka minut po prostu staliśmy, przytulając się i płacząc w milczeniu, po czym wróciliśmy do mojego gabinetu i opadliśmy na fotele, które stały naprzeciwko biurka. Bez słowa patrzyliśmy w okno. Nie mieliśmy nic do powiedzenia, nic do zrobienia. Mogliśmy jedynie czekać: ogłuszeni, jakby zastygli w czasie i przestrzeni, przygnieceni ciężarem tragedii, do której doszło trzy godziny temu. Tragedii, na którą nie mieliśmy najmniejszego wpływu i żadnej kontroli. W mojej świadomości krążyła kuriozalna myśl: nigdy wcześniej nie siedziałem w tym miejscu; dotychczas zawsze zajmowałem miejsce po drugiej stronie biurka.

Powietrze w gabinecie zdawało się być równie ciężkie jak moje nogi.

Nagle przygniatające milczenie zostało przerwane przez uczucie jakby prądu elektrycznego. Niespodziewanie poczuliśmy, że musimy wstać. Wydawało się nam, że gabinet wypełnił się światłem. Pokój, w którym się znajdowaliśmy, zniknął. Moje oczy niczego nie dostrzegały, jednak mój umysł przepelniało czyste, białe światło.

– Christopher jest tutaj – wyszeptęła Christina. – Jest taki jasny!

Ze światła wyłonił się kształt, uśmiechnięta twarz zdrowego i silnego młodego człowieka o blond włosach, promieniującego radością. Mieliśmy wrażenie, że unosi się nad ziemią, potężny i majestatyczny. Kontury jego ciała były niewyraźne... nie mogłem dokładnie dostrzec żadnych rąk, nóg czy szyi, widziałem jedynie unoszący się nad ziemią podłużny kształt

z przepiękną, jaśniejącą twarzą u wierzchołka. Twarz należała do Christophera, lecz była idealna, pozbawiona jakichkolwiek blizn, które za życia pozostawiły na niej liczne nieszczęśliwe wypadki. Biła od niego radość, wolność i siła, wrażenie, które przewyższało wszystko, czego dotychczas doświadczyłem lub sobie wyobrażałem.

Oboje z Christiną doświadczyliśmy dokładnie tej samej wizji. Przeniósł się do miejsca, gdzie czas i przestrzeń nie miały żadnego znaczenia, gdzie nie liczyło się ani to co na zewnątrz, ani to co wewnątrz. Majestatyczna obecność Christophera przytłumiła wszystko inne. Ogromne szczęście, jakie od niego emanowało, zaparło nam dech w piersiach. W tej wizji najbardziej zadziwiający był nie sam widok jego duszy, lecz uczucie zachwycającego wiecznego szczęścia i bezgranicznej siły, która płynęła z istoty Christophera. Jakbyśmy obserwowali jakąś olbrzymią eksplozję, która podlegała jednak całkowitej kontroli i niczego nie niszczyła.

I to był koniec. Staliśmy tak razem z Christiną w moim gabinecie; w przytłumionym świetle i ciszy, gdy nagle zadzwonił telefon.

– Odszedł – powiedzieliśmy oboje w tym samym czasie, najzupełniej zdając sobie sprawę z podwójnego znaczenia tych słów.

Uniosłem słuchawkę, wiedząc dokładnie, co usłyszę. Po drugiej stronie aparatu rozległ się głos doktora Greene'a z ostrego dyżuru.

– Przykro mi, rozgrzaliśmy go do trzydziestu trzech stopni, ale nic się nie dzieje; jego serce nie wykazuje żadnej elektrycznej aktywności.

– Dziękuję, że próbowaliście – powiedziałem. – Możecie przestać. Odwróciłem się do Christiny.

– To niesamowite. Chris był taki... szczęśliwy!



– Był tak pełen światła i siły.

Przytuliliśmy się, a po naszych policzkach znowu popłynęły łzy. Ogarnęło nas dziwne uczucie smutku i radości zarazem, poczucia straty a jednocześnie wrażenia, że coś oboje zyskaliśmy.

– Jakie to cudowne, że przyszedł do nas – łkała Christina. – Mamy mnóstwo szczęścia. Gdy wyszłam z windy i zobaczyłam twoją twarz, a ty powiedziałeś, że musisz mi coś przekazać, to było nie do zniesienia. Wydawało mi się, że tego nie przeżyję. Nie dlatego, że nie chcę żyć. Poczułam, że nie będę mogła żyć i że... umrę razem z nim. Dlatego tutaj przyszedł. To takie niesamowite. Ile milionów ludzi traci swoje dzieci i nigdy nie jest im dane zobaczyć tego, co my widzieliśmy przed chwilą?

Christina nie miała najmniejszego cienia wątpliwości co do prawdziwości złożonej nam wizyty. Ja sam byłem tym wstrząśnięty aż do szpiku kości. Czy po prostu to sobie wyobraziłem? Może to była po prostu zbiorowa halucynacja? A może to był prawdziwy Christopher? Czy coś podobnego było również we mnie? W kimkolwiek? Czysta, pełna siły oraz nieziemskiej radości istota? Najprawdziwsza dusza, która przeżywa ciało i opuszcza je tak jak czyni to wykluwający się z kokona motyl?

– Oboje go widzieliśmy – powiedziałem miękko. – Christopher zawsze był niesamowity. Ale nie wiedziałem, że aż tak bardzo.

Christina odsunęła się ode mnie i usiadła. Jej głos stwardniał.

– Ale to nie znaczy, że to jest w porządku, wiesz. Nie chcę, żeby ktokolwiek kiedykolwiek twierdził, że dla Chrisa lepiej jest, że umarł. Uwielbiał być sobą. Nie mogę tego znieść, że odszedł. Tak bardzo cieszył się na nadchodzące Święto Dziękczynienia.





## ROZDZIAŁ

# 2

**T**rudno mi powiedzieć, w jaki właściwie sposób odwiedzi-  
ny Christophera zmieniły naszą żalobę po jego śmierci.  
Myślę, że bez niej zostalibyśmy przygnieceni jego niedokoń-  
czonym życiem, które tak gwałtownie przerwało to zupełnie  
niezrozumiałe utonięcie. Jednak nawet mimo doznanej wizji  
nie czuliśmy w sobie ani radości, ani triumfu czy ulgi. Musie-  
liśmy powiedzieć o śmierci Chrisa jego braciom, a to było  
najtrudniejsze zadanie ze wszystkich.

Chris był drugim z naszych trojaczków, które przyszły na  
świat przedwcześnie, i ważył niewiele ponad dziewięćset gra-  
mów. O ile Jonathan i Jefferson rozwijali się dobrze i wyrosli  
na zdrowych, pełnych energii oraz utalentowanych chłopców,  
o tyle Chris krótko po urodzeniu doznał uszkodzenia móz-  
gu, prawdopodobnie na skutek epizodycznego bezdechu.  
W wyniku przejściowego niedotlenienia mózgu był opóźnio-  
ny w rozwoju i łatwo ulegał kolejnym atakom. Pomimo tego  
Christopher był niesamowity na swój wyjątkowy sposób: ze

swoimi przebłyskami humoru oraz poetyckości i wnikliwością, która stała się ozdobą jego mowy; z tą jego absolutną fascynacją każdym urządzeniem mechanicznym albo elektrycznym, jakie kiedykolwiek wynaleziono, oraz jego umiejętnością psucia wszystkiego zaledwie w mgnieniu oka, bez względu na to jak bardzo był pilnowany, z tą jego bezgraniczną zdolnością kochania oraz wybaczenia i wreszcie z jego niewyczerpaną skłonnością do wystawiania na próbę cierpliwości każdego, kto go znał. Każdego, za wyjątkiem jego babci. W świecie Christophera żadna osoba nie pozostawała nieprzetestowana, a żadna granica – nienaruszona. Uwielbiał takie zachowanie i żadna nagroda ani kara nie mogła tego zmienić.

Możliwe nieprzewidziane konsekwencje jego zachowania fascynowały Chrisa tak samo jak wszelkie przyciski czy zatrzaśki. Dla możliwości ujrzenia efektu był gotów zrobić wszystko. Wszystko bez wyjątku. Nie zachowywał się wobec innych złośliwie i nie robił im nic złego, a jeżeli w jakikolwiek sposób wyzuwał, że jego prowokacyjne zachowanie wywoływało w drugiej osobie raczej ból niż czystą złość lub rozdrażnienie, przestawał. Jeżeli chodzi o nagrody, uważał je za nieistotne. Pewnie, uwielbiał naleśniki, jakie smażyła dla niego mama, ciasteczka, jakie piekła dla niego babcia, kolejkę górską w wesołym miasteczku w Lake Compounce czy oglądanie Muppetów. Jednak tym, czego Chris pragnął najbardziej, było to, czego nigdy nie mógł mieć: być jak jego bracia, chodzić do tej samej szkoły i uprawiać te same dyscypliny sportowe.

Najbardziej godnym zapamiętania aspektem jego złego zachowania była towarzysząca temu zachowaniu powaga. Pewnego niedzielnego poranka, gdy Chris miał około 10 lat, obudził nas o świcie, domagając się uwagi.

– Chris, jest jeszcze ciemno – powiedziałem do niego. –  
Wracaj do łóżka.

– Ale ja chcę, żebyś już wstał – oświadczył stanowczo.

– Jestem zmęczony, Chris. Chcę się jeszcze trochę przespać.

A teraz wracaj do łóżka.

Rozejrzał się szybko po pokoju.

– Jeżeli nie wstaniesz – nalegał – dotknę wszystkiego, co  
zobaczę.

Dokonał szybkiego przeglądu przedmiotów, które leżały na  
znajdującej się przed nim toaletce:

– Dotknę... pieniędzy... okularów... telefonu...

W tym miejscu wybuchł niepohamowanym śmiechem.

Pewnego razu szkolny psycholog opisał Chrisa jako dziecko,  
które przynajmniej co pięć minut podejmuje jakieś zachowa-  
nie, które ma na celu przyciągnięcie uwagi innych. To mogło  
doprowadzić do szaleństwa, jednak zawsze znajdował się jakiś  
sposób, aby go powstrzymać, o ile tylko na drodze nie stanęła  
nam własna złość. Wielokrotnie zdawałem sobie sprawę, że  
denerwowanie się na Chrisa nie miało sensu, ponieważ moja  
własna złość jedynie karmiła jego oponującą naturę i czyniła  
go jeszcze bardziej zawziętym. Uważałem się za spryciarza, że  
udało mi się przejrzeć zachowanie chłopca, ale mimo wszyst-  
ko i tak w końcu zaczynałem się złościć. Bez względu na to  
jak bardzo sprytny się czułem, Chris umiał pokazać mi, że  
w głębi wciąż byłem głupcem. W końcu zrozumiałem, że jego  
przeznaczenie polegało na testowaniu granic wytrzymałości  
wszystkich znanych mu osób oraz obracaniu w nicość mitów,  
które ludzie tworzyli na temat samych siebie. Jeżeli myślałeś  
na przykład, że jesteś rozsądnym i dojrzałym człowiekiem,  
Chris i tak potrafił sprawić, że traciłeś nad sobą kontrolę.

Jeżeli uważałeś się za kogoś miłego i uprzejmego, umiał ujawnić twoją gwałtowność oraz ukrytą wrogość. A gdy sądziłeś, że jesteś beznadziejny, pokazywał ci, że tak naprawdę sporo umiesz. Był geniuszem w wyczuwaniu oraz obalaniu ludzkich przekonań na swój własny temat.

Chris był chodzącym paradoksem również pod wieloma innymi względami. Jego życie było bardzo trudne, pełne rozczarowań oraz doświadczeń, które łamały mu serce. Chciał umieć robić tak wiele rzeczy tylko dlatego, że umieli to jego bracia, lecz nie był w stanie. A jednak nigdy nie okazał nawet cienia goryczy czy rozżalenia swoim losem. Uwielbiał być sobą. Był dumny z tego, że był właśnie Christopherem. Nie dlatego, że coś zrobił czy czegoś dokonał, lecz po prostu dlatego, że żył.

W podobny sposób myślał o innych ludziach. Gdy poszedł do szkoły, polubił spotykanie się z absolutnie każdym uczniem oraz członkiem personelu. Stawał w drzwiach i krzyczał:

– Cześć, wróciłem!

Nie przejmował się, jeżeli ktoś był niezdolny do wyartykułowania jakiegokolwiek dźwięku, przykuty do wózka inwalidzkiego czy wreszcie w ogóle nieświadomy jego obecności. Każda osoba była dla niego indywidualnością, co okazywał jej przy pomocy szacunku oraz osobistego pozdrowienia. Nie obchodziło go, czy ktoś był ładny czy brzydki, bogaty czy biedny, hojny lub skąpy – wszyscy byli dla niego tacy sami. Nie dlatego, że nie *dostrzegał* między nimi żadnej różnicy, lecz dlatego, że nie miało to dla niego najmniejszego znaczenia.

I chociaż Chris napotkał na swojej drodze wielu złych ludzi, nie chował do nikogo urazy. Jeżeli ktoś dopuścił się wobec niego fizycznego nadużycia, Chris unikał go lub prowokował, ale nigdy nie się na niego nie złościł. Nie dlatego, że miał słabą

pamięć. O nie. Chris pamiętał wszystko, szczególnie zaś złamane obietnice. Nie poznałem nikogo, kto miałby tak wielką zdolność wybaczenia jak on.

Po zakończeniu nauki, w wieku dwudziestu jeden lat Chris zamieszkał w North Plain Farm w Great Barrington, niewielkiej wspólnocie, którą założył zapoczątkowany w Anglii ruch bazujący na koncepcji określanej jako Camphill movement. Wspólnota opierała się na czymś, co nazywało się *Lifesharing*. Ludzie z uszkodzeniami mózgu oraz ich opiekunowie żyli i mieszkali w niej razem, dzieląc ze sobą każdy kolejny dzień. Wysiętek, jaki każda z tych osób wkładała w rozwój społeczności, pozwalał im wzrastać.

Podstawy Lifesharingu stworzył niejaki Rudolf Steiner, austriacki uczony oraz wizjoner, ten sam, który założył ruch szkół waldorfskich. W 1906 roku czterdziestoletni wówczas Steiner zadziwił środowisko akademickie, publikując pracę, która opisywała jego psychiczne doświadczenia. Było to szokujące wyznanie uznanego naukowca. Kolejnych dwadzieścia pięć lat upłynęło mu na tworzeniu międzynarodowego ruchu, który zastosowałby jego duchowe spostrzeżenia w praktyce i wdrożyłby je w system edukacji, rolnictwo oraz wszelkie metody leczenia. Osobiście uważałem dzieła Steinera za trudne w odbiorze i ezoteryczne. Jego opinie na temat opieki zdrowotnej wydawały mi się wręcz zdumiewające. Natomiast ogromne wrażenie wywoływały na mnie praktyczne wnioski, które wypływały z jego filozofii edukacji, dlatego do wszystkich, którzy próbowali wcielić idee Steinera w życie, odczuwałem duży szacunek.

Niedaleko Great Barrington, oprócz North Plain znajdowały się też trzy małe farmy, które stanowiły część społeczności

Lifesharing: Buena Vista Farm, Orchard House oraz Shadwood. Łącznie wspólnota liczyła około 40 członków.

Nie muszę chyba dodawać, że bezbrzeżny indywidualizm Christophera stanowił ogromne wyzwanie dla całej wspólnoty, a wymagania, jakie wiązały się z Lifesharing, stanowiły z kolei ogromne wyzwanie dla samego Christophera.

Chris stanął na wysokości zadania, jednak nigdy nie przestał kusić losu. Na sześć tygodni przed śmiercią, w trakcie pracy we wspólnym ogrodzie niedaleko Orchard House, wdrapał się do należącej do grupy minifurgonetki zaparkowanej na zboczcu wzgórza. Usiadł za kierownicą, odciągnął hamulec ręczny i wrzucił sprzęgło na luz. Furgonetka stoczyła się z drogi i pomknęła przez pola. Jechała tak ze czterysta metrów przez pastwiska, po czym w końcu zatrzymała się w krzakach, które rosły u podnóża. Jakimś cudem Chrisowi nic się nie stało, a samochód nie miał na sobie prawie ani jednej rysy. Przez kolejne dwie godziny nie wypowiedział ani jednego słowa. Kilka dni później, podczas wizyty na farmie, Christina zapytała go, dlaczego wsiadł do tamtej furgonetki. Wtedy na jego twarzy zajaśniał uśmiech od ucha do ucha, a on sam odpowiedział triumfująco:

– Chciałem się przejechać!

W ciągu tamtych dziewięciu miesięcy, jakie spędził na farmie North Plain, zwycięstwo Christophera nad samym sobą stało się centralnym punktem, który spajał wspólnotę oraz pomagał jej rozwijać. Jeżeli był w stanie zaufać grupie na tyle, aby rzec się wiecznego testowania granic, oznaczało to, że w jego oczach społeczność zdała egzamin. Jeszcze przed swoim odejściem Chris przełamał pewną barierę i wydawało się,



że zaczyna się dla niego zupełnie nowa epoka. Jednak dalszy rozwój uniemożliwiła mu nagła śmierć.

– Taka tragedia – powiedział Jonathan z cichą złością, gdy oznajmiliśmy mu śmierć Christophera. – Żył tragicznie i tak samo umarł. To zbyt bolesne, żeby o tym rozmawiać.

Jon zawsze bardzo opiekował się swoim bratem i to od czasu, kiedy skończył dwa lata, czyli od momentu, gdy po raz pierwszy zrozumiał, że Chris był inny. Ani on, ani Jeff nie wyrazili zainteresowania historią odwiedzin duszy Chrisa. Dwa tygodnie przed wypadkiem obaj pojechali do Great Barrington, aby spędzić z Chrisem weekend. Planując wyjazd, Jon powiedział mi:

– Naprawdę potrzeba mi dawki Christophera.

W jego słowach uderzyło mnie wyrażenie: *dawki Christophera*. I to był sposób, w jaki Jon zapamiętał swojego brata – jako prostego geniusza i ciągle zagrożenie dla hipokryzji oraz konwencji. Na przykład Chris bardzo poważnie traktował wszelkie święta. Nieważne, czy była to Wielkanoc czy Boże Narodzenie, przechadzając się po ulicy czy centrum handlowym, przedstawiał się ludziom i życzył im wszystkiego dobrego, obojętnie czy znał ich czy nie.

– Wesołych świąt – mówił. – Jestem Chris. Mam nadzieję, że te święta będą dla pana przyjemne. Wesołych świąt. Mam na imię Chris. Czy mogę uścisnąć twoją dłoń?

Dla Jona *to* był prawdziwy Christopher, a nie jakiś duch.

Tylko Jordan, nasze najmłodsze, niespełna dziewięcioletnie dziecko, uwierzył w historię o wizycie Chrisa. On i Chris

zawsze byli ze sobą bardzo blisko. Jordan nigdy nie zapomniał, jak Chris – jego starszy brat – obejmował go i krzyczał:

– Jesteś moim małym braciszkiem!

Jordan wyrażał absolutne przekonanie, że dusza Christophera była nieśmiertelna. Gdy ujrzał swoją mamę, z płaczem tulącą zdjęcie Chrisa, objął ją za szyję. Christina załkała:

– Nie wierzę, że żyję bez Christophera.

Jordan odpowiedział jej z całkowitą pewnością:

– Mamusiu, nie martw się, jemu jest *dobrze*.



## ROZDZIAŁ

# 3

**W** trakcie naszych zmagañ z bolesnym i żmudnym zadaniem poinformowania całej rodziny o śmierci Christophera, wizja jego wspaniałej duszy wydawała się nam coraz bardziej niesamowita. Wracałem do niej kilka razy dziennie, próbując wzbudzić w sobie wspomnienie każdej sekundy tego doświadczenia, jak gdyby był to jakiś narkotyk, który mógł odstraszyć rozpacz i złość.

Nie wątpiłem w prawdziwość tego, co wtedy zobaczyłem. Raczej czułem się pobłogosławiony, że obdarowano mnie wizją raju. Natomiast nie miałem pojęcia, co mam z nią zrobić. Nie zdawałem sobie sprawy, że Christopher jeszcze ze mną nie skończył i że podając w wątpliwość absolutnie wszystko, wywróci mój świat do góry nogami. Myślałem, że wiem o sobie i o innych ludziach wszystko. Nie miałem pojęcia, że Chris zademonstruje nam inną nieśmiertelność jego duszy, taką, która będzie jeszcze bardziej przekonująca niż to, co widzieliśmy dotychczas. Nie przeczuwałem, że pokaże mi, iż nieśmiertelność

każdej duszy z osobna jest w intymny sposób związana z pochodzeniem wszechświata.

Zostałem wykształcony jako naukowiec oraz poszukiwacz. Moimi najważniejszymi narzędziami była logika, rozum oraz przeprowadzanie doświadczeń. Przez większość mojego życia wielkie zagadki życia uważałem za nierozwiązane: w jaki sposób zjawiliśmy się tutaj, z jakiego powodu, w jakim celu – o ile w jakimkolwiek – oraz co dzieje się po śmierci. W szkole średniej duże wrażenie wywarły na mnie dzieła Tomasza z Akwinu, który nakreślił nieprzekraczalną granicę pomiędzy wiedzą a wiarą. To, co możemy *wiedzieć*, tłumaczył Tomasz z Akwinu, nie wymaga wiary. Religia opiera się na wierze, nie na wiedzy; w prawdy wiary można jedynie wierzyć i nigdy nie należy ich potwierdzać jako faktu. Z natury oraz Bożej intencji religia nie podlega żadnym dowodom. Ponieważ nie należą do tych, którzy przyjmują wszystko na wiarę, odrzuciłem religię oraz kwestie duchowe, uznając je za wyssane z palca, i poświęciłem moje życie myśli agnostycznej: do dowolnej wiary aplikowałem naukowy sceptycyzm. Z drugiej strony wyniki takiego sceptycznego podejścia były paradoksalne.

Z łatwością uwierzyłem, podobnie jak czyni to większość naukowców, że życie powstało wyłącznie przez przypadek: odpowiednie warunki środowiskowe, właściwe składniki w prymitywnej chemicznej zupie, przypadkowe łączenie się molekuł tworzących pierwsze prymitywne pranukleotydy kodu genetycznego, które na miliard lat przed ewolucją zaowocowały powstaniem ludzkiego mózgu. Naszą świadomość stworzyło zaś nic innego jak tylko zachodzące w mózgu procesy biochemiczne. Problem z takim punktem widzenia polega na tym, iż

nie jest on do końca naukowy i wymaga od człowieka dokonania cichego aktu wiary.

W swojej książce zatytułowanej *Zdumiewająca hipoteza, czyli nauka w poszukiwaniu duszy* sir Francis Crick, renomowany fizyk i biochemik uhonorowany Nagrodą Nobla za swoją pracę, która ujawniła strukturę DNA, raczej zwięźle wyraża swój pogląd na status ludzkiej duszy:

*Ty, twoje radości i smutki, twoje wspomnienia i ambicje, twoje poczucie tożsamości i wolna wola nie są w rzeczywistości niczym innym niż sposobem, w jaki zachowuje się ogromny zbiór komórek nerwowych i związanych z nimi cząsteczek... Jesteś niczym innym jak wiązką neuronów\* oraz Jeżeli fakty naukowe są wystarczająco trafne oraz dobrze ugruntowane, a ponadto jeżeli wydają się one popierać Zdumiewającą Hipotezę, wówczas możemy stwierdzić, że idea, która głosi, iż człowiek posiada pozbawioną ciała duszę jest... niepotrzebna...\*\**

Przez całą następną dekadę, aż do swojej śmierci w roku 2004, Crick kontynuował swoją pracę nad teorią ludzkiej świadomości jako produktu ubocznego chemii oraz anatomii. Żadnej duszy, tylko molekularne połączenia.

Hipoteza Cricka stanowi doskonały przykład redukcjonizmu naukowego, który uznaje, że najlepszym sposobem zrozumienia czegokolwiek jest rozebranie tego na części pierwsze i uważne przestudiowanie otrzymanych w ten sposób elementów składowych. Jego teoria uwidacznia w najwyraźniejszy możliwy sposób panujący wśród naukowców brak wiary. Pomiedzy fizjologicznym oraz psychologicznym opisem wizji,

\* Francis Crick, *The Astonishing Hypothesis: The Scientific Search for the Soul* (New York: Charles Scribner's Sons, 1994), s. 1.

\*\* *Ibid.*, s. 261.

które stanowią większość z przedstawianych przez Cricka dowodów i które miały rzekomo potwierdzić jego teorię, a czymkolwiek, co mogłoby stanowić rozsądne uzasadnienie jego podejścia do rozumienia ludzkiej świadomości, nie wspominając już o duszy, istnieje ogromna intelektualna przepaść. W roku 1994 Crick musiał przyznać z niejakim zażenowaniem:

*W chwili, w której to piszę, żaden z zestawów koncepcji nie wydaje się pasować do siebie na tyle dobrze, aby przekonać nas, że istnieje szczegółowa hipoteza neuronowa, która mogłaby okazać się słuszna.*

Jeżeli odnosisz wrażenie, jakbym przedzierał się przez dżunglę, masz sporo racji\*. Po spędzeniu tysięcy godzin na zgłębianiu procesu widzenia, jaki ma miejsce u małp, Crick podsumował osiągnięte przez siebie postępy, stwierdzając, że badał procesy odpowiadające za zdolność widzenia u małp, ponieważ to było łatwiejsze oraz że musiał odłożyć na bok *trudniejsze aspekty świadomości, takie jak emocje oraz samoświadomość\*\**.

Jakie przesłanki pozwoliły Crickowi na zaprezentowanie swojej teorii duszy tak, żeby sprawiała wrażenie, iż kryje się za nią wspaniała potęga *nauki*? Pierwszą z nich była jego własna *opinia*, która sprowadzała istotę ludzką do jej podstawowych komponentów, naukowcy mogli zatrzymać się na etapie molekuł, które tworzyły nasze ciało. Drugą z nich stanowiła jego niewypowiedziana głośno decyzja o ograniczeniu obszaru badań do zjawisk o powtarzalnym i mierzalnym charakterze oraz założenie, że to, czego się dzięki temu dowiemy, może zostać przełożone na zjawiska, które mają charakter

\* Crick F., *The Astonishing Hypothesis*, s. 251.

\*\*Francis Crick oraz Christof Koch, *A Framework for Consciousness*, *Nature Neuroscience* 6 (2003):119–126, przyp. aut.

niemierzalny i nie dają się doświadczalnie powtórzyć. Trzecią było jego *ogromne uznanie, jakim darzył spektakularne dokonania nowoczesnej nauki*, które pozwoliły nam poznać większość z tego, co dawniej uważano za niezgłębione. Jednak są to wyłącznie *opinie*, i mimo że podziela je wielu naukowców, nie są one mniej subiektywne niż przekonania, jakie kryją się za większością duchowych wierzeń. W ciągu tych kilkunastu lat, jakie spędziłem na badaniu objawienia Christophera, zdałem sobie sprawę, że tym *spektakularnym dokonaniem* towarzyszyło pewne zaślepienie. Niektóre prawdy widzimy bardzo rzadko tylko dlatego, że utraciliśmy zdolność ich dostrzegania.

Ale nie sprzedajmy faktów.

Zastanawiając się nad odwiedzinami Christophera, doszedłem do wniosku, że postąpię bardziej w duchu nauki, jeżeli odrzucę opinie, które opierały się na myśleniu redukcjonistycznym i zachowam sceptycyzm odnośnie do niepopartych dowodami twierdzeń naukowców. Pozbawiony wiary, obdarzony jednak wystarczającą ilością wątpliwości dotyczących logiczności konwencjonalnego myślenia, byłem gotowy, aby otworzyć się na doświadczenia oraz na to, czego się dzięki nim nauczę. Spodziewałem się, że stawiane pytania wykrócą poza odpowiedzi, że będę szukał więcej niż znajdę i że zasieję więcej niż będę w stanie zebrać. Myliłem się.

Przez kolejne trzy tygodnie Christopher miał mi objawić o wiele więcej na temat natury życia, niż kiedykolwiek mogłem się tego spodziewać. Mój nieżyjący dwudziestodwuletni syn z uszkodzonym mózgiem miał pokazać mi, i to przy pomocy tak wielu dowodów jak tylko mogłem oczekiwać, że

śmierć nie oznacza końca życia, lecz że stanowi zaledwie punkt zwrotny w przygodzie, jaką przeżywa każda dusza z osobna. A gdy już uznałem, że wszystko rozumiem, miał wywrócić mój sposób myślenia do góry nogami i obdarzyć mnie taką wizją wszechświata, która absolutnie przyćmi moje dotychczasowe przekonanie na temat tego, co jest prawdziwe.





## ROZDZIAŁ

# 4

Zdecydowaliśmy, że Chris powinien być pochowany w górach Berkshire, w Great Barrington, tak aby wspólnota, z którą dzielił ostatnie miesiące swojego życia i na którą jego śmierć wywarła tak wielki wpływ, również mogła go pożegnać. W czwartek, 3 listopada, w strugach posępnego listopadowego deszczu pojechaliśmy na farmę około 240 kilometrów na północ od Nowego Jorku. Pogrzeb miał odbyć się w sobotę. Mieliśmy zatem dwa dni na przygotowanie uroczystości oraz dwie noce na spotkania z mieszkańcami wspólnoty, aby słowem i piosenką uczcić pamięć Chrisa.

North Plain Farm zajmowała dziesięć akrów lasów oraz łąk i była położona na rozległym płaskowyżu, jaki rozciągał się na północ od miasta Great Barrington. Główny budynek farmy został wybudowany w stylu kolonialnym około 1830 roku i znajdował się tuż przy drodze North Plain Road. Wyłożoną białymi deskami budowlę otaczały szopy, stajnie oraz owczarnie, niektóre z nich były stare i zniszczone, inne zaś – nowe

i pomalowane na jasny kolor. Wzdłuż błotnistego, ziemnego podjazdu przepływał strumyk.

Na tyłach starego, zbudowanego w kolonialnym stylu domu wyrastały liczne przybudówki, połączone ze sobą niczym klocki domina. Z oryginalnej kuchni oraz salonu ze starodawnym kamiennym kominkiem, płytkim i wysokim, przechodziło się do nowo wzniesionego, nowoczesnego pomieszczenia kuchennego, którego budowa nie została jeszcze przez wspólnotę ukończona. Chris pracował właśnie nad kuchnią. Znajdował przyjemność w rozbijaniu wiertarką udarową starych betonowych płyt. Nauczył się prosto wbijać gwoździe w deski stropu i odpowiednio układać belki. Przy podjeździe zasadził forsycje. Nauczył się też życia na farmie. Opanował sztukę karmienia oraz zapędzania na noc do zagrody kóz i owiec. Wiosną przyglądał się porodowi owcy i dzień po dniu obserwował rozwój jagnięcia. Pomagał też opiekować się małą osieroconą przez mamę kózką.

Gdy Chris zjawił się na farmie po raz pierwszy, zwierzęta go w ogóle nie interesowały. Nie można było ich sprowokować w sposób, w jaki dawało się prowokować ludzi. One nigdy nie mówiły *Przestań!* albo *Nie rób tego!* Nie obchodziło ich, że coś popsuł albo że poprzestawiał kanały w radio lub chciał na deser coś innego niż wszyscy pozostali mieszkańcy. Przeważnie ignorował naszego psa, a podczas wycieczek do zoo po prostu spał. Pewnego popołudnia, gdy przechadzaliśmy się z Chrisem i Jordanem po terenie Bronx Zoo, zobaczyliśmy na wybiegu północnoamerykańskie niedźwiedzie brunatne, które dawały niecodzienny pokaz. Zamiast spać w ukrytym wśród skał legowisku, samce stały wyprostowane na tylnych łapach, warcząc, rycząc i uderzając jeden drugiego łapą. W końcu zaczęły się

bić i wzajemnie przewracać. To była walka o samice. Razem z Christiną jak zaczarowani przyglądaliśmy się tej wspaniałej demonstracji siły i zwinności. Christopher także ucieszył się z przerwy w chodzeniu. Korzystając z okazji, usiadł na ławce i uciął sobie drzemkę.

Christina obudziła go, po czym pokazała mu akrobacje niedźwiedzi.

– Chris, spójrz – zachęcała. – Czyż to nie cudowne? Zobacz, jak duże i szybkie są te zwierzęta.

Brak jakiegokolwiek zainteresowania.

– Co to za zwierzęta, Chris? Widziałeś je już wcześniej na zdjęciach. Te są prawdziwe.

Odwrócił wzrok.

– No dalej, Chris, co to za zwierzęta?

Chcąc ją uciszyć, mruknął:

– Świnie!

O ile zwierzęta nudziły Chrisa, spacerzy budziły w nim odrazę. Dawał radę przejść jakieś trzydzieści metrów, po czym chciał się zatrzymać i odpocząć. Zupełnie inaczej było z bieganiem. Mógł biegać bez przerwy, a zwłaszcza wtedy, gdy powinien był iść, a przynajmniej kiedy nie wolno mu było biegać. Gdy podczas Olimpiady Specjalnej wyszedł swoją mamę z drugiej strony boiska, pomknął w jej stronę niczym wystrzelony pocisk.

Kiedy przyjechaliśmy na farmę po raz pierwszy, Chris kategorycznie odmówił wspinania się w lesie. Jednym z powodów takiego zachowania mogły być bardzo wysokie dawki leków, które miały kontrolować jego ataki sprawiały, że przez większość dnia był senny i osowiały. Po jedzeniu także chciało mu się spać. Mieliśmy wrażenie, że cierpi z powodu wrażliwości

na niektóre produkty spożywcze, przypuszczalnie te zawierające konserwanty lub inne dodatki do żywności. Tymczasem Chris ubóstwiał restauracje typu fast food, a zwłaszcza McDonald's i Roy Rogers. Ale posiłek w Roy Rogers gwarantował, że po piętnastu minutach Christopher zaśnie. Na diecie złożonej z uprawianych na farmie warzyw oraz pieczonego w domu chleba, kurcząt z wolnego wybiegu oraz jagnięcego gulaszu Chris powoli budził się z odrętwienia, które przyćmiło mu wcześniejsze dni. Dawka leków, które przyjmował z powodu ataków, mogła zostać zmniejszona i nie spowodowało to ani nasilenia, ani zwiększenia częstości występowania napadów.

Dzięki zachęcie innych rezydentów Chris zaczął brać udział w grupowych wyprawach wspinaczkowych w góry Berkshire: wejście na szczyt góry i powrót, dystans o długości około trzech kilometrów. Niekiedy maszerował nawet na czele grupy. To ironia losu, że zabiła go właśnie wspinaczka w lesie.

Great Barrington to senne, położone nad rzeką Housatonic River miasteczko w Nowej Anglii. Centrum miasteczka wybudowano wokół skupiska kilku dostojnych kościołów, oddzielonych jeden od drugiego małymi sklepikami. Wzdłuż bocznych uliczek wznoszą się białe oszalowane domy. Na obu końcach ulicy Main Street miasteczko rozplywa się, znikając albo wśród pól i wydm, albo wśród małych centrów handlowych z rozpostierającymi się przed nimi rozległymi parkingami.

W piątek rano pojechaliśmy do miasta przygotować mszę pogrzebową, która miała być odprawiona w kościele św. Piotra, imponującej strukturze z szarego kamienia o neogotyckim

kształcie, z witrażami w oknach, pięknymi organami oraz balkonem dla chóru. Nie byłem człowiekiem religijnym, jednak nie miałem wątpliwości, że w procesie radzenia sobie ze śmiercią Christophera pomoże nam tradycja i związane z nią rytuały. Skierowaliśmy się do sekretariatu. Kościół był dostępny w sobotę popołudniu, a pastor nie miał nic przeciwko temu, aby mszę odprawił pochodzący z innego miasta kapłan, przyjaciel rodziny. Oprócz tego, o ile udałoby się nam zorganizować chór, kościół mógł zapewnić nam organistę.

Co zupełnie naturalne, dom pogrzebowy znajdował się w centrum miasta, w pobliżu kościoła, a cmentarz św. Piotra po drugiej stronie rzeki, na tyłach pizzerii Four Brothers Pizza. Restauracja wyglądała na odpowiednie miejsce na odpoczynek, zresztą Chris uwielbiał pizzę. Bardzo lubił też tę restaurację, a to ze względu na jej nazwę, która wydawała się oznajmiać całemu światu, że stanowi miejsce przeznaczone właśnie dla niego, Christophera, i jego trzech braci.

Wybrana przez nas kwiaciarnia znajdowała się zaraz za kościołem. Gdy wchodziliśmy do sklepu, minęła nas młoda kobieta niosąca czerwone i niebieskie balony wypełnione helem. Poczulem w sobie impuls, któremu nie byłem w stanie się oprzeć.

– Kupmy balony – powiedziałem do Christiny. – Dwadzieścia dwa jasnożółte balony. Wypuścimy je przy grobie.

Gdy tylko to powiedziałem, ogarnęły mnie wątpliwości. Skąd ten pomysł? Czy to było rozsądne?

– Tak – odpowiedziała Christina, jakby czytała w moich myślach. – Tak właśnie się czuję, gdy myślę o Chrisie. Kojarzy mi się z jasnym, wznoszącym się w górę żółtym balonikiem.

Decyzja, aby zamówić balony, dodała nam animuszu. Załatwianie wszystkich tych formalności sprawiło, że wcześniej czuliśmy się wyczerpani. Każda drobna sprawa, którą rodzic musi załatwić, aby pochować swoje dziecko, wydaje się ważyć tyle co cała kula ziemską. Podczas gdy wydaje ci się, że przeżycie każdego kolejnego dnia pochłania całą twoją energię, musisz podejmować takie decyzje jak miejsce pochówku, model trumny czy rodzaj muzyki. Lecz mimo wszystko chcieliśmy podejmować te decyzje, ponieważ pragnęliśmy, aby msza i ceremonia pogrzebu stanowiły formę oddania czci życiu Christophera i nie były zaledwie rytuałem wyrażającym naszą żalobę po jego śmierci.

O odprawienie mszy żałobnej poprosiliśmy ojca Gerry'ego Fitzsimmonsa, księdza i misjonarza w Montfort. Fitz dorastał w tej samej części Queens co Christina i był proboszczem w nowojorskim Port Jefferson w czasach, gdy ja studiowałem na odległym o zaledwie kilka kilometrów wydziale medycznym Stony Brook University. Fitz udzielił Jonowi i Jeffowi pierwszej komunii, pojechał do Connecticut ochrzcić Jordana, a na Long Island pochował babcię Christiny. Jako misjonarz, Fitz przywykł do podróży i udawania się do kościołów, które go akurat potrzebowały. A było ich wiele. Zazwyczaj proszono go też o kolejne wizyty. Ku naszemu zaskoczeniu Fitz w najbliższą sobotę był wolny i oświadczył, że z przyjemnością przyjedzie, aby odprawić mszę żałobną za Chrisa.

Następnie zadzwoniliśmy do Margaret i Petera Cymanow, naszych przyjaciół z Manhattanu, którzy byli muzykami. Cymanowie byli polskimi imigrantami i poznali się w Krakowie. Margaret śpiewała najczystszy i najbardziej poruszającym

sopranem, jaki kiedykolwiek słyszałem. Odpowiedź Petera sprawiła, że do oczu napłynęły mi łzy:

– Będzie nam bardzo miło, jeżeli będziemy mogli zaśpiewać dla Christophera.

Mieli zabrać ze sobą swojego przyjaciela, Woytka, który śpiewał jako bas, oraz obu synów – Paavo i Shimona, żeby Jordan miał się z kim bawić. Utwory muzyczne wybraliśmy wspólnie: *Amazing Grace* na procesję, *Ave Verum Corpus* Mozarta na komunię, *Ave Maria* Schuberta przed kazaniem, a na wyjście – pieśń żałobną Bardosa *Eli, Eli, Lamma Sabachthani?*

Oba wieczory przed pogrzebem wypełniły nam kolacje, spożyte wspólnie ze wspólnotą, pierwsza w North Plain, a druga w domu pogrzebowym. Rozmawialiśmy o Christopherze, zapaliliśmy jego modlitewną świecę i wspólnie śpiewaliśmy ludowe oraz religijne pieśni. Dwie z nich były ulubionymi piosenkami Chrisa, *Ezekiel Saw the Wheel* oraz *This Little Light of Mine*.

Razem z Christiną rozmawialiśmy też z ludźmi, którzy byli Christopherowi szczególnie bliscy. Należał do nich Luke oraz Daniel, młodzi ludzie w wieku dwudziestu kilku lat, na których nasz syn wywarł szczególny wpływ. Historię ich życia opowiem nieco później. To, czego się od nich dowiedziałem podczas przygotowań do napisania tej książki, radykalnie zmieniło mój sposób rozumienia życia Chrisa.